Rok II. Nr. XII.

BŁĘKITNY WETERAN



ORGAN STOWARZYSZENIA WETERANÓW BYŁEJ ARMII POLSKIEJ WE FRANCJI

Warszawa
Grudzień 1937 r.

Cena 60 gr.

ROK II GRUDZIEŃ 1937 NR. 12

BŁĘKITNY WETERAN

ORGAN STOWARZYSZENIA WETERANÓW B. ARMII POLSKIEJ WE FRANCJI

Ilustrowane czasopismo, poświęcone historii i wspomnieniom b. Armii Polskiej we Francji oraz życiu i sprawom organizacyjnym Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji.

Redakcja i Administracja czasopisma Warszawa, ul. Długa 50 m. 108. Tel. 11-50-20. Konto P. K. O. Zarz. Głównego Stowarzyszenia Nr. 21.640.

Warunki prenumeraty: Numer pojedynczy 60 gr. Prenumerata roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1 zł. 50 gr.

Redaktor: Władysław Dunin-Wąsowicz
Wydawca: Stowarzyszenie Weteranów b. Armii Polskiej we Francji.

W dzień Bożego Narodzenia

Witaj-że witaj, zielona drzewino!
Gościu przemiły z gajów leśnej głuszy,
Łzy rozrzewnienia na twój widok płyną,
Młodość wspomnieniem powraca do duszy,
W szumie gałązek drzemią zda się moce,
Budząc wśród łona drżenia tajemnicze
I wstają marzeń rozgwiaż- [illegible]
Co jako szczęście minęły zwodnicze.



Owiany blaskiem, mimowoli oczy
Zamykam, mocą wspomnienia olśniony
I wzrokiem ducha budzę przeuroczy
Obraz i widzę ukochane [illegible]
Sto świateł płonie na Bożej drzewinie,
Chyląc płomyki pod natchnień podmuchem.
Z tego od wieków cała Polska słynie,
Że w dniu Narodzin jednym żyje duchem.

Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia
i Redakcja „Błękitnego Weterana"
przesyłają Członkom Stowarzyszenia i Czytelnikom
serdeczne życzenia

„Wesołych Świąt!"

Pamiętne wigilie polskie

Na przestrzeni wieków kilka jest takich wigilii polskich, które swoimi wypadkami historycznymi wbiły się głębiej w pamięć narodu.

Rok 1655

Święta Bożego Narodzenia w r. 1655 w Polsce szczególniejszą miały doniosłość dziejową. Kraj zajmowali Szwedzi; jedyną wyspą wśród tego »potopu« była Częstochowa, o której mury odbijały się fale nieprzyjacielskiego zalewu.

Bezskuteczne szturmy we wściekłość wprawiały szwedzkiego wodza. Wreszcie w sam dzień wigilijny Müller wysłał do upartego klasztoru pismo, w którym groził, że wygubi całą załogę a klasztor obróci w perzynę, jeżeli ojcowie niezwłocznie nie skapitulują.

Nazajutrz zagrzmiały działa. Kule uderzały bezustanku w ściany gmachów i w wielu miejscach przebiwszy mur, wśród kurzawy i gruzu po korytarzach i zakrętach tu i ówdzie latały. Pochodnie, ukręcone z konopi, oblane smołą, napełnione siarką i saletrą, niecily płomienie, szczególnie zaś te, które, do jabłka granatowego podobne, w żelazne rury opatrzone, na wszystkie strony miotały ogień i ołów. Najbardziej zaś przerażały kule żelazne wydrążane, które, już tlejące z machin rzucone pękały i rozpryśniętymi kawłakami na wszystkie strony raniły. A wśród tego huku, wrzasków i dymu płynął bez przerwy z wieży klasztornej śpiew kobiet i dziatwy. Dopiero nad wieczorem nastała cisza.

W drugi dzień świąt, ks. Augustyn Kordecki posłał wodzom szwedzkim obrazki Najświętszej Panny i napominał, aby nie nadużywali cierpliwości Boskiej. Tegoż dnia w klasztorze uroczyście, z muzyką, odprawiono nabożeństwa, wśród nieustannego bicia w dzwony i palby z dział i rusznic.

Szwedzi, biorąc to za znak jakiegoś odniesionego zwycięstwa, poczęli opuszczać swoje stanowiska. W nocy pozdejmowali działa i wyprawili je w drogę, o świcie zaś 27 grudnia odstąpili spod Częstochowy.

Niebawem bramy klasztoru otwarły się szeroko; »jeno wszystkie dzwony biły, biły, biły, a owe głosy triumfu leciały w dal i słyszała je cała Rzeczpospolita«.

W dniu Bożego Narodzenia tego roku odradzał się duch Narodu, rósł, potężniał, w bohaterskie obrońców Ojczyzny wcielał się postacie.

Rok 1806

W czasach porozbiorowych okres świąt Bożego Narodzenia parokrotnie zaznaczył się wydarzeniami dodonioślejszego znaczenia dziejowego. Wśród nieustannego wesela i radości fetowano wojska francuskie i cesarza Napoleona, przybywających w grudniu 1806 r. do Warszawy.

Pogrom Prusaków, obudzone nadzieje wskrzeszenia Ojczyzny, krwawy bój z Moskalami pod Pułtuskiem (26 grudnia), o którym pieśń ludowa głosiła — wszystko to składało się na uświetnienie tradycyjnego święta. Z zapałem garnęli się ochotnicy do powstającej armii narodowej.

Iściły się pragnienia powszechne, wyrażane przy opłatku wigilijnym onego roku Pańskiego 1806-go!

Rok 1812

Minęło sześć lat zaledwie. W sam dzień wigilijny r. 1812-go stanęły w Warszawie resztki ocalonego z pogromu wielkiej armii korpusu polskiego.

Smutne były w Polsce święta w r. 1812 i w latach następnych, czasu okupacji rosyjskiej.

Rok 1815

Kongres wiedeński 1815 r. powołał do życia nowy twór polityczny polski pod nazwą Królestwa Polskiego. Na uroczyste ogłoszenie Konstytucji oznaczono dzień wigilijny 24 grudnia. Uroczystość miała jednak przebieg oficjalny...

Rok 1830

Święta Bożego Narodzenia w r. 1830 minęły w podniosłym, gorączkowym nastroju oczekiwań wypadków zbliżających się starć z armią rosyjską. Kraj wrzał uniesieniem. Z zapałem witano ściągające do stolicy oddziały, z rozrzewnieniem przyjmowano rodaków, przybywających z innych dzielnic. Uchwała sejmowa z 20 grudnia o uznaniu powstania za narodowe i powierzeniu władzy dyktatorskiej Chłopickiemu, była przedmiotem ożywionych dyskusyj w czasie świąt.

Młodzież entuzjastycznie powtarzała nową zwrotkę dawnej pieśni legionowej: »Marsz, marsz Chłopicki — Bóg nam da zwycięstwo!«.

Niebawem zagrzmią działa pod Stoczkiem i Grochowem...

Rok 1861

W innym zgoła usposobieniu umysłów mijały święta w latach 1861 — 1862. Powszechna w całym społeczeństwie, bez różnicy klas, stanów i stronnictw fanatyczna wiara w potęgę uczucia, co zdolne jest «zwalać i podźwigać trony«, nabierała w dniach uroczystości religijnych i świąt tradycyjnych szczególniejszego napięcia.

Cudny kwiat upragnionej niepodległości urastał w sercach mężów, niewiast i dzieci i pełną była serdecznego błagania cała ziemia polska: »Ojczyznę, Wolność, racz nam wrócić, Panie!«. Taki też był główny najdonioślejszy motyw modlitwy, powtarzanej w dniach oczekiwania cudu w niebie i na ziemi. Kraj rozbrzmiewał pieśnią błagalną, którą przerwie niebawem suchy trzask karabinów, świst kozackich nahajów i ponury skrzyp szubienic. A potem głucha noc niewoli i nowe wysilenia i nowy bój z tą samą wiarą w cud odrodzenia.

Rok 1914

Rok 1914. Walki pod Łowczówkiem. »Wieczór wigilijny. Łamiąc się sucharami, bo nie dla wszystkich starczyło opłatków, składano sobie życzenia.

Pierwsza wigilia polskiego żołnierza czasu Wielkiej Wojny. »Bóg się rodzi, moc truchleje...«.

*

Czy w latach walk, czy pokoju, radości, czy smutków, dzień Bożego Narodzenia to w Polsce przede wszystkim święto ukojenia, miłości, zgody i dzień wspomnień o tym, co serca krzepi, budzi nadzieje i myśl podnosi ku rzeczom pięknym, nieśmiertelnym.

Henryk Mościcki

Napoleon w Polsce w dniu wigilijnym

Wigilijne wspomnienia?

Ale któreż z nich wybierzemy? Jest ich wiele, bardzo wiele na taśmie filmowej wieków, są radosne i smutne, rzewne, jak światła Bożego drzewka, spokojne, jak owe dni wigilijne, w Panafredowskim dworku na Chorąszczyźnie, a są i obaw pełne, jak owe wieczory wigilijne roku 63, gdy to ponad śniegami pól polskich czaiła się już wielka dziejowa burza.

O wielkiej wigilii mówić będziemy, o wigilii, która wraz z nadzieją przyjścia na świat Zbawiciela, w serca polskie pierwszą nić czarnego zwątpienia nawlekła. Wigilia roku 1812.

Żyje po dziś dzień wspomnienie o niej, nie tylko w pożółkłych papierzyskach, nietylko świadczą o niej miejsca, domy i chaty, ale i żyje również w pamięci.



Napoleon w odwrocie spod Moskwy

(obraz Kazimierza Sichulskiego)

Materiału jest stos przeogromny, pamiętników, żółtych, postrzępionych kart, blankietów nerwowo podpisanych, rozkazów, gdzie nawet biegłemu grafologowi trudno by było odczytać, z nerwowo nakreślonego zygzaku, imię największego imperatora, opowiadane są w dnie wigilijne jeszcze po dworach Wileńszczyzny owe gadki, które jednak z odtwórczą plastyką rysują nam na tle po dziś dzień istniejących domów i zagród, postaci dziwne, a dlatego tak wyraźne, że kontrastowo różne temu entouragowi.

Opowie o nich syn pisarza ihumeńskiego, filereta, późniejszy Edward Tomasz Massalski, mówić będą o tej wigilii, szlachcic zagrodowy po dziś żyjący, chłop wyorujący guzy mundurów Wielkiej Armii i wileński mieszczanin.

Trudno dzisiaj kronikarzowi wykreślić z zaułków podświadomości wszystko to, czego nas historia była nauczyła, a należy się cofnąć w te lata braku telefonów i radia, środków komunikacyjnych dla dokładnego pojęcia i zrozumienia owej epoki, dla odtworzenia jej taką, jaką była.

Ciche dwory rozsiane po puszczach mińskich, po ziemi wileńskiej, żyją jeszcze w zimie lutej wspomnieniem owych wiosennych wspaniałości.

*

Z gracją i z szykiem jechała wtedy Wielka Armia brzozowymi traktami ku Północy i Wschodowi. W złotej kurzawie przydrożnego pyłu, błyskając złotem i czerwienią, kołysząc futrzanymi bermycami na mazowieckich głowach, przegalopowali w awangardzie, z bronią u biodra, szaszerzy konnej gwardii, a potem szła piechota jak wąż wielki, najeżona błyskającą łuską bagnetów, a potem jechali kirasjerzy, lansjerzy, dragoni hanowerscy, czerwoni huzarzy holenderscy. Głucho warczące po kamieniach śpiżowe armaty i szła piechota, na której sztandarach w słońcu połyskiwały haftem imiona bitewne: Jena, Austerlitz, Frydland, Aspern—Esllling. A wiodły te dywizje w złoto szyte lwy, których nazwiska rysowały się gromem: Ney, Davout, Berthier i teatralnie odziany szwagier cesarski w pióropuszowym kołpaku, król Neapolu — Joachim.

Te białe spodnie grenadierów, te brodate twarze saperskie, ten przepych mundurów i nazwisko ich Wodza, z którym był Bóg — »a on jest z nami« — na psychice dworów i wsi zarysowały się świetlanym blaskiem meteorolitu, złocistymi promieniami Aurory, która jak jutrznia zwiastowała przyjście Polskiego Dnia.

A potem, gdy ostatnie echa rytmicznych kroków wojska, wchłonęła i zretuszowała kresowa knieja, nastało to błogie oczekiwanie wieści, radosnej wieści zwycięstwa, podobne do oczekiwania matki, która się brzemienną poczuwszy, niecierpliwie oczekuje pierwszego uścisku swego dziecka.

Na dalekich traktach, nieoszpeconych jeszcze siecią drutów telegraficznych, czasami się tylko jakiś żydek podróżny przepętał, niosąc wieść o bojach odległych, czasami się tylko jeszcze wypytywano niecierpliwie sunące z rzadka rezerwy o wieści krajowe, lub też na popas goszcząc pyłem pokrytego konnego łącznika, z wieści, które przywoził z małego odcinka areny bitewnej starano się wywnioskować o wrzeniu tego wielkiego tygla, w którego kotłowaninie miała się zrodzić... kwestia polska.

»Dziennik Wileński«, podówczas periodyk jeszcze, przynosił wieści skąpe to o imieninach cesarza i króla, które uroczyście dnia 15 sierpnia obchodzono w wileńskiej stolicy, to o eksdywizjach egzekucyjnych i kurlandzkiej kontrybucji.

Jesień, wielka kuma-tęsknica, zrodziła niepokoje. Słyszano o wielkiej bitwie pod Moskwą, o zrabowaniu skarbca carów, o wymianie listów między cesarzem Aleksandrem, ale na próżno się silono odgadywać z tego jakiekolwiek konkrety, a horoskopy wyczytywano raczej w gwiazdach.



Sala klasztoru podominikańskiego w Wilnie, pod którą w podziemiach mieści się zbiorowa mogiła żołnierzy napoleońskich, zmarłych w grudniu 1812 r.

Aż przyszła zima tego roku. Gwałtowna i wyjątkowo kapryśna, wczesne śniegi już od października ubieliły ziemię. I po raz pierwszy do dworów kresowych »zapukali« maruderzy.

»Przenajświętszy Sakrament złupili, ołtarze i zakrystie i rzucili się do dworów. Tu powiązawszy czeladź, zaczęli męczyć Jarmułkiewicza, żeby wyznał gdzie ma zachowane pieniądze i pruli stemplami skórę od palców aż po ramiona. Tą katuszą zmusili nieszczęśliwego do wyznania, iż w jednej kafli od pieca ma wmurowane trzy tysiące dukatów. Dobyli więc je a oprócz tego wynaleźli także zakopaną w ogrodzie skrzynię że srebrem stołowym, rawanickiego pałacu, Słotwińskich. I złupiwszy dwór również jak w Łochach, pociągnęli gdzieś dalej«...

Stara karta pamiętnika opisuje rzeczy grozą przejmujące, a wierzyć się nie chce, że to byli żołnierze Korpusu Księcia Poniatowskiego, idący od Smoleńska ku Borysowowi, na szczęście nie Polacy, ale z włoskich pułków przydzielonych do tego oddziału wojsk.

A potem za nimi mrocznymi traktami od Orszy posuwała się za Francuzami główna armia rosyjska Kutuzowa, niszcząc to, co jeszcze zostało po maruderach. Wielki książę Konstanty obrał kwaterę w Rawaniczach, a armia jego plądrowała kraj.

Wtedy pod przybranym nazwiskiem sekretarza swojego koniuszego, w małej karecie ustawionej na płozach chłopskich sani, w zielonej szubie i w kapturze nasuniętym na orle oczy, z polskim oficerem ułanów na koźle, od Smorgoń przez Oszmianę jechał nędzarz, do którego przed pół rokiem należały wszystkie kraje starego świata

Wiemy jak to było, a stareńki dziś Pan Stanisław, wnuk ówczesnego właściciela karczmy oszmiańskiej, wydobywa z wiotkiej pamięci te wspomnienia, które ojcowie mu przekazali.

Zmierzchał się już krótki dzień zimowy, gdy przed karczmę oszmiańską zajechała kareta i dwoje sań. O pół wiorsty stamtąd, w istniejącym jeszcze podówczas zameczku oszmiańskim, kwaterowały dwa szwadrony polskich ułanów, ale wokół miasta buszowały już podjazdy kozacze, a pod folwarkiem »Swięty Duch« rozłożyła się na śniegach sotnia kozacza. Skromne były zapasy oszmiańskiej karczmy i dawno już nikt z ichmościów na traktunek do niej nie zajeżdżał, gdy owego dnia grudniowego zakołatał do niej w płaszcz odziany oficer ułanów. Arendarz z karczmy wyszedłszy naprzeciw gości, ujrzał karetę otwartą, a wgłębi niej otuloną w futra postać. Oficer polski zagadnął:

— Czy macie waszmość grzane wino?

Wino? Skądżeby! Od miesięcy tego w Oszmianie nie oglądano, a i żołnierzom nawet w furażach nie wydawano go już dawno.

— Nie ma wina — jest tylko mleko.

— Eh bien! Donnez du mleko — woła zniecierpliwiony głos z karety.

Szklanka mleka przyjęta zostaje łapczywie, jakgdyby człowiek siedzący w karecie nigdy nieposiadał sławnej piwnicy w Toullierach. Odgarnia futrzany czepiec znad czoła i karczmarz poznaje po jego marmurze, że to jest właśnie... On.

Ta szklanka z grubego zielonego szkła i ten napoleondor, który mu wciska adiutant cesarza Dunin Wąsowicz do ręki, to skarb rodzinny. Potem kazano mu zawezwać dowódcę polskich szwadronów, od którego zażądano kawaleryjskiej eskorty.

Z dwóch szwadronów do Wilna przez tę noc piekielnego mrozu, pojechało 11 ludzi na koniach.

Wigilia cichego dworku roku 1812 była wigilią pełną przygód. To do okien kołatały zgrabiałe ręce, wyjąc raczej niż prosząc o kawałek chleba, a niktby w tych pękach gałganów nie rozpoznał wspaniałych holenderskich huzarów tegorocznej wiosny. Na pasterkę jadących przez las zaczepiały widma z krzaków się wyłaniające, z błagalnym okrzykiem:

— Kleba!... kleba!...

Do stodoły w Stefanowie naszło ich tyle, żeby kompanię z tego uszykować można, kilku z bronią w ręku, a wszyscy prawie i w gałganach. I wzięli się do cepów dla rozgrzewki, wołając: Mon Dieu, mon Dieu.

Bo mróz był 40-stopniowy. A gdy ich przygarnięto i ciepłą strawą nakarmieni pomarli, kopczyk im usypano tuż za stodołą, który po dziś dzień istnieje.

I po dziś dzień odnajduje się całe pobojowiska szkieletów ludzkich, z bronią i metalowymi częściami mundurów pod Bieriozą za Lepiosami. To tam, w wigilię 1812 roku, zaśnie na wieki w noc wigilijną, zatrzymawszy się na kwaterę zdziesiątkowany korpus saski Reynera.

Stół wigilijny, tradycyjnie nakryty w dworach wileńskich, o jedno nakrycie więcej »dla zamorskich panów«, miał podówczas wielu gości.

I może na te zaproszenia z szarej ciszy północnych lasów odpowie tym enwitacjom wołanie skostniałej warty:

...Jesteśmy!... czuwamy!...

Feliks Dangel



Zajazd oszmiańskiej karczmy, gdzie w grudniu 1812 r. kwaterował Napoleon.

Pierwsza i ostatnia wilia Bajończyków

W okopach mieliśmy przed sobą druty kolczaste, pole i na horyzoncie białą linię niemieckich transzei. W ogóle to, skąd na nas leciały dzień i noc ze świstem karabinowe kule, czyniąc niekiedy: pac, pac, ile razy uderzyły o kamień, a od czasu do czasu w dosyć regularnych odstępach armatnie pociski.

Święta Bożego Narodzenia 1914 r. wypadły nam na odpoczynku nad kanałem. Prosty jak wyciągnięty sznur, obsadzony olbrzymiemi drzewami, ujęty w wysokie brzegi, jest kanał tak samo charakterystyczny dla francuskiego krajobrazu, jak dla naszego kręta rzeczka, o płaskich brzegach, wijąca się wśród niskich wierzb i krzaków.

Ów „nasz" kanał miał brzegi na tyle wysokie, że w jednym z nich można było pokopać jamy dla żołnierzy na tyle niskie, że we wnętrzu tych jam pielgrzymowało się na kolanach. W każdym razie mieszkaliśmy poniżej poziomu wody, która sobie pomalusieńku płynęła o półtora metra po za naszemi głowami, a o dobry metr powyżej nich.

W brudno-seledynowych jej mętach czasami ktoś symulował pranie koszuli. Że jednak polski komitet i różne cywilne osobniki z branży przyjaciół, znajomych i kochanek, nadsyłali nam z Paryża dość często rzeczy do „wdziewania pod spód", więc się zdarzało brudną bieliznę rzucać w kanał, choćby dla samej satysfakcji potopienia z nią wszy, a ku utrapieniu kapitana, biadającego, że szczupaki będą paradowały w kalesonach, przeznaczonych przez rząd do odziewania naszych nieprzyzwoitości.

Zjawiliśmy się nad kanałem pewnego poranku na kilka dni przed świętami. Było tam odrazu wielkie lokalizowanie błota na kupy, aby jaki taki wygląd nadać naszemu obozowisku. Ustały niezliczone przeglądy kapitańskie, oficerskie i podoficerskie żołnierskich sprzętów i zasobów, błoto przymarzło opłatki nadsyłane w paczkach z Paryża zjedzono (żeby „miejsca nie zabierały" w plecakach), nadeszła „Wilja".

Wysadzili się na nią wszyscy, którzy z urzędu czy sentymentu nami się opiekowali: intendentura, kapitan i Paryż. Szampan, cygara, daktyle, sardynki, wódka, w ilościach raczej reprezentacyjnych, ale dowodzących dobrego serca, wchodziły tego dnia w wigilijną ucztę. Zasoby pieniężne u wielu i bliskość miasteczka dostarczyły alkoholu na potrzeby istotne.

Żyło się w naszej kompanji polskiej sekcjami. Pierwsza miała jednego hrabiego, własnego sierżanta Polaka nosiła nos lekko wyżej, niż nasza druga, w ogóle była cwańsza od naszej i żyła bliżej wielkiego ołtarza.

W drugiej było sporo „inteligentów i malarzy", w trzeciej zaczynały się już inne nacje, czwartej jeszcze bardziej mieszanej prawie zupełnie nie pamiętam.

Program wigilji był następujący: wizyta komendanta z oficerami w pierwszej sekcji, wizyta ich u nas, w drugiej, wreszcie nasza wizyta w pierwszej na choince.

Pamiętam nieźle punkt drugi i trzeci. Pamiętam głównie jako wrażenia malarskie owe dobrze znajome twarze, natłoczone figury w ciasnej norze nawpół podziemnej, oświetlone licznemi świecami powtykanemi umiejętnie w ziemiste ściany naszej budy.

Klasyczny przykład oświetlenia a la Rembrant! Wizyta Francuzów oficerów u nas miała charakter serdeczny dzięki nastrojowi chwili, wrodzonej grzeczności Francuzów i polskiej podatności na wszelkie nastroje. Pito zdrowie Polski i Francji szampanem z blaszanych żołnierskich kubków, palono cygara, fajki, papierosy.

Do podświadomych magazynów żołnierskich dusz wprowadzano pewien bardzo silny moment, który później, najczęściej automatycznie, pozwalał przetrwać niejedną chwilę ciężką.

Choinka w pierwszej sekcji, która miała jamę bardzo obszerną i wysoką (bodaj czy nie można tam było stać!) uczyniła odrazu nastrój w całym znaczeniu słowa „ciepłym".

Koleżeńskie stosunki u Bajończyków były serdeczne, choć język był zgoła niesalonowy, lubiliśmy się szczerze.

Choinka była rzęsiście oświetlona, a gospodarze gościnni. W ogóle co kto miał w zapasach wódki, czy sprośnych kawałów, częstował tem od serca całą kompanję. Przyjmowano wszystko z otwartemi ustami i uszami, aż do północy, poczem wielu ruszyło na Pasterkę.

Równolegle do kanału biegła szosa, a przy niej stała wielka ferma, o romantycznej nazwie „Esperance".

Tam, w olbrzymiej, pustej stodole, w kącie na drewnianej skrzyni odprawiał kapelan pułkowy „messe de nuit".

Pamiętam piękną kolędę francuską, z radosnym okrzykiem: Noel! Noel! Pamiętam, że nasi śpiewali kilka kolęd. Pamiętam, że śpiewano w wielu językach.

W mroźną, wyiskrzoną noc wracaliśmy do swych legowisk, odległych o jakie pół kilometra.

Ostatni epizod tej dziwnej nocy Bożego Narodzenia był iście wojenny.

Po powrocie, ledwo ułożyliśmy się spać (polegało to na zdjęciu butów i poodpinaniu rzemieni i bagnetów), z otworów do jam rozległ się znany dobrze okrzyk cyklisty:

— Aux armes! tout le monde de hors!!

W mgnieniu oka staliśmy pod bronią przed budami, porządnie, eskuadami i sekcjami.

Mówiono, że jest atak i że idziemy do okopów na pomoc. Pamiętam jak dziś, że bractwo maszerowało z olbrzymim animuszem. Nasyceni, zlekka zawieruszeni, szliśmy w doskonałym nastroju, wdychając rozkoszne, zimne powietrze. Noc była dosyć widna.

W połowie drogi zatrzymano nas w uliczce nawpół rozwalonego, opustoszałego z cywilów miasteczka Prunay.

Czekaliśmy godzinę, może dłużej, i... powróciliśmy „do domu".

Ataku nie było, a strzelanina pochodziła stąd, że z jednej i drugiej strony urządzono sobie pukawkę „dla kurażu".

Po powrocie czekała nas miła niespodzianka. Koledzy-kucharze przyjęli nas gorącą kawą.

Kto nie był na wojnie, nie wie, co znaczy po marszu w zimną noc kubek gorącej kawy. Słuszność nakazuje wyznać, że była to kawa prawdziwa zgoła jeszcze przedwojenna, jaką dzisiejsi ludzie nie zawsze pijają.

Tak się skończyła ta pierwsza noc Bożego Narodzenia Bajończyków. Drugiej wcgóle nie było, bo następnego roku, kompanja polska, przetrzebiona w dwóch atakach pod Arras, rozleciała się.

Kto został, wsiąknął w inne pułki francuskie czy ententowe lub powrócił „w cywile".

K. H.

Żołnierz-tułacz

— „Drużyno Sokoła! W dniu dzisiejszym życzę Ci, by się ziściły nasze marzenia. Te marzenia śnione, pielęgnowane z ręką na karabinie. Niech nas nie braknie w ogniu walki narodów".

I szedł nasz naczelnik gniazda wzdłuż szeregów umundurowanych, uzbrojonych własnem staraniem i nakładem. Szedł, łamiąc się opłatkiem z tymi, którzy chcieli rzucić dobrobyt i poprzez morze iść na pole walki.

Oto wspomnienie z roku 1915, z obchodu wigilijnego gniazda sokolego w Hartford Conn, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. To wigilia pełna wiary i nadziei.

* * *

„Przyjedź natychmiast do Meriden. Oczekuję w hotelu. Sprawa poufna. Dziób".

Za kilka godzin, klęcząc, z palcami na krzyżu, powtarzałem za naczelnikiem Związku Sokolstwa Polskiego słowa przysięgi: „Tajemnicy mi powierzonej nie zdradzę..."

Za 28 godzin 23 młodych Sokołów przekrada się przez granicę kanadyjską pod osłoną nocy. Zgodnie z umową, zawartą pomiędzy Paderewskim a rządem angielskim, wstępujemy do szkoły oficerskiej angielskiej w Toronto, by przygotowywać kadry do mającego powstać Legjonu Polskiego.

— „Nie wiem kto jesteście, jakie są Wasze zamiary. Wiem tylko, że mam was uczyć, taki mam rozkaz od mojej władzy".

Oto słowa powitalne w szkole, wypowiedziane przez pułkownika armji angielskiej, komendanta szkoły, Le Pan'a.

To wspomnienia wigilji 1916 r. To początek czynu, wigilja wielkiej sprawy.

* * *

Obóz polski w Niagara on the Lake w Kanadzie rozbrzmiewa pieśnią. Po falach rzeki Niagary i po jeziorze Ontario lecą słowa polskiej kolendy. Śnieg wysoki na dwa metry, mróz 37 stopni. 4500 ochotnika zasiada do wigilji w swoich barakach zbudowanych własnemi rękoma. Część jeszcze mieszka w namiotach, pod śniegiem. W szkole oficerskiej, czwarty kurs zasiadł do wieczerzy.

Przy łamaniu się opłatkiem przemawia przybyły z Francji prezes Sokolstwa tamtejszego, znany pisarz, Wacław Gąsiorowski. Przemówienie wyciska łzy z ocz

To wigilja 1917 r. To wigilja dojrzewającego polskiego czynu orężnego.

* * *

W Quintin, Cotes du Nord we Francji, kasyno oficerskie przepełnione. Dziwują się nasi goście francuscy tej mnogości potraw. Przy stołach, błękitne mundury kryją gorące serca żołnierza - tułacza. Są tu i ci z Brazylji, są i z Meksyku, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Anglji, Holandji, są i ci, co to z armji niemieckiej się wyrwali, i ci co to z obozu Sainta Maria we Włoszech pod sztandary się zaciągnęli. A co się z którym zmówisz, to wszystko Sokół, druh najserdeczniejszy. A bywało, ze w jednej czwórce znajdywano żołnierza z czterech stron świata. Duch tam był i w każdym osobno i we wszystkich dla wszystkich a szczególnie dla Polski okrutnie silny, gotowy do wszelakich poświęceń. Na piersiach wielu widać odznaczenia francuskie za pamiętny atak. Są to resztki „brawurowych Polaków" na których posypały się Legje i Krzyże Wojny. Ci pokazali Sprzymierzonym w ogniu walki do czego Polak jest zdolny.

I huknęła pieśń kolęda pełną piersią stęsknionego żołnierza. Żałość i tęsknota nas żarły. Podobno w Polsce dzieci biją Niemca, podobno Lwów krwawi... a my tu uzbrojeni, wyćwiczeni, silni, gnuśniejemy. Hej, Boże! przenieś nas tam na te pola nasze, byśmy mogli raz nareszcie upaść na dumne kolana i całować nasze zagony. Kto nie był żołnierzem - tułaczem ten nie zna tej tęsknoty do Ojczyzny.

Polały się stągwie wina, fantazja się wzmogła, już idziemy pieszo do Polski przez Niemcy, już, już Gdańsk nasz, już hajdamaczyzna wypędzona na stepy. Hej, Boże! jak to miło o tem myśleć... aż nasz czcigodny kapelan Więckowski przerywa te marzenia, przypomina nam Pasterkę. Huczą organy, rżnie orkiestra, śpiewa chór, śpiewają wszyscy aż kościół trzęsie się w posadach.

To wigilja roku 1918, wigilja po pracy, wigilia tęsknoty do Tej, o której śniono z karabinem.

* * *

Kasyno oficerskie w Modlinie pełniusieńkie. Są i ci „krajowi" oficerowie, są i ci „z Francji". Radość wielka. Jest Polska wielka, jedna. Pomorze nasze. Wznoszono toasty na cześć Polski, Francji, wodza naczelnego Józefa Piłsudskiego, gen. Hallera. Radosna to była wigilja. To święto połączenia dobrych pracowników.

* * *

Na Wołyniu, przy trakcie Równe-Korzec, w miejscowości Międzyrzecze, stoją resztki 45 pułku piechoty. Jest to trzeci hallerowski pułk z Francji. Ci i we Francji proch wąchali, i z pod Lwowa gnali hajdamaków, a na rozkaz Rady Ambasadorów musieli się cofnąć, potem aż pod Kijów szli i znowu na rozkaz cofnęli się pod Lwów a w kontrofensywie zgnietli słynną armję Budiennego pod Zamościem. Są to resztki, resztki wyszczerbione, ale już nie tułaczy, lecz walczących u siebie, na swoich zagonach. Na mundurze obok medali za waleczność często widzieć można skromnego sokolika. To ci aż z Ameryki. Radość dobrze spełnionego czynu. Pieszo przemierzyli świat. Chociaż wieczerza skromna, to jednak słodka, bo po zwycięskim trudzie. Kornie chyliły się czoła przed Jezusem leżącym w żłóbku, w podzięce za dozwolenie dożycia tej chwili, kiedy nie ma już wroga w granicach Polski.

* * *

Gdy wspomnę nazwiska i twarze tych Sokołów, z którymi łamałem się opłatkiem w r. 1915 to widzę ich kości rozsiane po całym świecie. Padli w służbie rekrutacyjnej, obozowej, w boju. Od Meksyku, Brazylji, Stanów Zjednoczonych, Kanady, poprzez Francję, Kijów, ciągną się ich kości aż pod Warszawę. Jest to pomost wiernej służby, pomost chwały po którym kroczyła Wolność.

* * *

Sokoli! Bierzmy z nich przykład w pracy dla Polski! Historja Sokolstwa to wielka, święta księga, pisana ofiarami. To katechizm narodowy!

W księdze tej są jeszcze karty czyste, niezapisane. To miejsce dla wpisania służby młodszych pokoleń. Jaką będzie wasza służba? Czy dorównacie wielkością serca i ofiarnością waszym poprzednikom?

Przy tegorocznej wieczerzy wigilijnej wspomnijmy o tych ofiarnych poprzednikach naszych, złóżmy im dar świąteczny w postaci przyrzeczenia ofiarniejszej służby.

Wojciech Albrycht

Na ziemi francuskiej w roku 1918

Już jest po zawieszeniu broni.

Po zajęciu szeregu ewakuowanych przez Niemców pozycyj, koncentrujemy się w okolicach Lunevillu. Humory nie są świetne. Niejeden żołnierz myślał, że teraz pójdziemy poprzez Niemcy do Polski. A tymczasem stoimy znów w obozie ćwiczebnym.

Do tego skwasił humory wypadek, który zaszedł w batalionie zapasowym. Dwóch młodych oficerów-instruktorów, Francuzów, poszlo zwiedzać niemieckie okopy. Wybuchła pod ich nogami zdradziecko zakopana i zaopatrzona w przyciskowy detonator mina. Jednego rozerwało niemal na sztuki. Drugi został dość poważnie okaleczony.

Tem więcej żałowaliśmy, że nie idziemy okupować nieprzyjacielskiego kraju. Jedyną pociechą była intensywna praca wyszkoleniowa i nadzieja rychlego powrotu do Polski:

W takich to nastrojach zastaje nas Boze Narodzenie 1918 r.

Kilka dni przedtem zostałem odkomenderowany z Marainviller, gdzie stał batalion, do Luneville. Formowano tam pierwszą sekcję samochodową naszej dywizji. Poszukiwano instruktorów.

Wspomniawszy dobre dawne czasy, kiedy to na wyścigowym „Gregoirze" pędziłem po świecie, podałem swą kandydaturę. O dziwo — została przyjęta. Coś się widać musiało zmienić w organizacji wojskowej, skoro do samochodów przeznaczano fachowca, a nie na przykład piekarza lub dentystę.

Jednak miłe to zdziwienie pierzchło, jak tylko zobaczyłem moich przyszłych uczniów. Banda piratów z korsarskiej galeony nie wyglądałaby bardziej malowniczo a podejrzanie.

Nic dziwnego. Dowódcy kompanii, szwadronów i baterыj, otrzymawszy rozkaz wydzielenia do formacyj samochodowych odpowiedniej ilości ludzi, nie kwapili się oczywiście z wysłaniem najlepszych. Wprost przeciwnie; starali się pozbyć najgorszych. To też w Luneville zastałem pół setki urwipołciów spod ciemnej gwiazdy. Zaledwie kilku z nich miało jakie takie wyobrażenie o samochodzie.

Urwipołcie ci zmienili się zresztą wkrótce w karny i bitny oddział automobilowy, stawiany zczasem za przykład całej dywizji.

Obejrzawszy swe nowe „zebry", poszedłem zameldować się dowódcy kolumny, francuskiemu porucznikowi Bokanowskiemu. Przyjął mnie bardzo gościnnie, odrazu zaprosił do messy (w oddziałach samochodowych oficer, jako że był sam jeden, jadał zwykle z podoficerami) i pozostawił zupełną swobodę działania.

— Musi mi pan dać jakieś pomieszczenie w koszarach — rzekłem do furiera.

— Jakto, więc pan nie chce mieszkać w mieście?

— A to wolno?

— Wypadł z pociągu. Słowo daję — śmiał się furier. — Myślicie, że to u nas piechota. Mieszka każdy gdzie chce. Byleby służba szła.

Zachwycony poszedłem na miasto szukać kwatery.

I nagle myśl olśniewająca a prosta: Panna Zette.

Tak. Zette, niegdyś wielka miłość mego przyjaciela Włodzia, musi być w Luneville. Pamiętam nawet, że mieszka na rue Stanislas. Tylko pod którym numerem?

Bajki. Luneville nie jest znów tak wielkim miastem. Pytam najprzód o rue Stanislas. Znajduję. Ulica na szczęście niedługa. Zachodzę do pierwszej lepszej konsierżki:

— Nie wie pani gdzie tu mieszka młoda i przystojna osoba, imieniem Zette?

— A ta mała Marchal. Pewno że wiem. Trochę dalej numer ósmy.

Domek francuski na kurzych nóżkach. Trzy okna frontu, dwa piętra i mansarda. Dzwonię. Otwiera mi sympatyczna staruszka w czepku.

— Mademoiselle Zette Marchal?

— To tutaj. Zechce pan wejść.

Czyściutki przedpokój. Dalej typowy francuski salon, z cykającym na kominku zegarem. Robótka na drutach leży na fotelu. Bawi się duży, bury kot.

— Moje córki zaraz wrócą.

A więc Zette ma siostrzyczkę. Wiadomość godna uwagi, jako że do niej samej obowiązują święte prawa koleżeństwa. La femme d' un camarade c'est sacre.

— Oh monsieur, co za miła niespodzianka.

Różowy buziak malutkiej Zette nadstawia się sam. Wyciskam na nim mocny pocałunek. A za chwilę gwarzymy o dawnych, dobrych czasach:

Znam Zette już od lat kilku. Poznałem ją w Paryżu przez jej przyjaciółkę, pannę Marcelle, właścicielkę znanej firmy modniarskiej. Marcelka była, jak to się po francusku mówi, „impayable". Dobra i naiwna bez granic, mówiła sama o sobie, że jest, jak „Chocolat Poulain" (popularna wówczas w Paryżu marka czekolady). Marka ta reklamowała się stalą formułką: — „Le gouter, c' est l' adopter". Muszę przyznać ze skruchą, że skosztowałem, ale nie zaadoptowałem.

Marcelka opowiadała też chętnie o swej podróży do Egiptu, którą odbyła w towarzystwie jakiegoś kapitana dragonów. Znalazłszy się w obliczu piramid, otoczona przez głośno wyrażających swój zachwyt cudzoziemców, przypomniała sobie nagle że jest Francuzką. Przecież geniusz Francji przejawił się właśnie w obliczu sfinksa. I zirytowana angielskimi splendid i niemieckimi wunderschon, odezwała sę naraz głośno:

— Ale ten Napoleon to wspaniale pracował.

— ???' — zwróciły się na nią oczy podróżnych.

— Przecież przez czterdzieści wieków budował te piramidy.

Biedaczka wiedziała, że dzwonią, tylko nie była pewna w którym kościele. Opowiadała po tym sama z wielkim wdziękiem o tym swoim historycznym wpadunku.

Zette zaśmiewała się, gdy wspominaliśmy tę historię. Pytała o Włodzia. Dowiadywała się o innych kolegów. Sama z matką i siostrą od roku mieszka w ojczystym Luneville. Le moment n'est pas de s'amuser. Trzeba pracować.

Wieczorem ułożony w szerokim francuskim łóżku, nakryty pierzynami, napojony rumiankiem i pocałowany na dobranoc, zasnąłem niczem król.

O wpół do siódmej rano zapukano do drzwi.

— Czy można?

— Entrez.

W rannym czepeczku, z pod którego wyglądał śliczne hebanowe loki i w zwiewnym muślinowym szla

froczku, panna Małgorzata — siostra Zette, stanęła z tacą w ręku przy łóżku.

— Przyniosłam panu śniadanie.

Na tacy dymiła faska wspaniałej czekolady. Obok leżała rumiana długa bułka. Nie dałem się długo prosić.

— Pani naprawdę bardzo dobra — wymamrotałem z ustami pełnymi umaczanej w czekoladzie bułki.

— Zawsze miło jest służyć żołnierzowi. Biliście się cztery lata za nas jest to więc tylko cząstka długu. Jestem pewna, że wszystkie kobiety Francji wiedzą ile są winne swym mężom, braciom, kochankom...

— Mówi pani jak z książki.

Mijały dnie. Z narażeniem własnego życia uczyłem moje „zebry" sztuki szoferskiej. Raz wsadzono mnie na mur. Drugi raz na słup telegraficzny. Kilka razy do rowu. Ale cierpliwością i pracą doszedłem do rezultatu. Po miesiącu „zebry" jeździły niezgorzej i stare sanitarne Fiaty, służące za wozy instrukcyjne, nie chrzęściły już wszystkimi trybami przy zmianie biegów.

Wieczorem siadywałem zwykle w wielkim, specjalnie na moją intencje ustawionym fotelu i popijałem odwar lipowy z lekką domieszką rumu. Zette i Margueritte majstrowały coś swemi drobnemi zwinnemi paluszkami. Mamusia dłubała robótkę, zasypiając od czasu do czasu. Kot mruczał, ocierając się o moje kolana. A ogień na kominku huczał wesoło, jakby zadowolony, że wojna się skończyła i że znów będzie błogi dobry spokój.

Potem mówiłem grzecznie dobranoc i wracałem do swojego łóżka na mansardzie. Przez zbytek troskliwości panienki wkładały mi pod kołdrę metalową bouillotte: — Żeby panu było ciepło w nogi.

W same Boże Narodzenie, odwiedził mnie Staś Laskowski. Pułk jego stał w pobliżu, w Mont-sur-Meurthe. Korzystając z tego, że pułkownik wyjechał na święta do Paryża, Staś zarekwirował pułkownikowego rumaka, i przycwałował do Luneville.

— Chłopie a jak cię złapią?

— Je m'en fiche. Nikt nie wie. Jestem teraz dowódcą taboru bojowego. Mogę czynić z końmi co mi się podoba.

— A coś z twoim rumakiem zrobił?

— Postawiłem go w stajni w koszarach dragońskich.

Poszliśmy na miasto. Deszcz padał, ulice były puste. Tu i ówdzie widniały jeszcze w słabym blasku gazowych latarń gruzy i zwaliska zniszczonych przez Niemców budynków. Wstąpiliśmy do jakiejś kawiarni.

— Co słychać z wyjazdem do Polski? — spytałem.

— Podobno niedługo. Nie rozumiem dlaczego nas tu jeszcze trzymają, kiedy tam jesteśmy potrzebni. Jakieś polityczne konszachty. Opowiadają, że w Warszawie jest rząd socjalistyczny i wolą tam, żebyśmy nie przyjeżdżali.

— To niemożliwe.

— I ja w to nie wierzę. A jednak siedzimy. Już trzy miesiące, jak generał Haller złożył przysięgę na sztandar naszego pułku.

— Byłeś przy tem?

— Nie. Odkomenderowali mnie. Ale wiem od kolegów. Było morowo. Popłakali się niektórzy. A katamarze, aż gęby rozdziawiali na naszą dywizję.

— Szkoda. Nie mam jakoś szczęścia do uroczystości. Gdy wręczali pułkowi sztandar, siedziałem akurat w pierwszych okopach. A tu znów...

— Co słychać w Luneville?

— Nic wielkiego. Porucznik Sobolewski, ten z kartaczownic, miał dramatyczny romans z jakąś dziewczynką. Zlikwidowano. Potem w Leszczyńskim, tym starym legioniście co to dowodzi łapiduchami, zakochała się jakaś czarnobrewa. Żyć mu nie daje. Rotmistrz Załuski też ma powodzenie, spotykam go codziennie z inną.

— A ty?

— Cóż ja. Służba, robota, a zresztą ktoby tam chciał na mnie patrzeć.

— Nie udawaj. Znów się zakonspirowałeś.

Ani spostrzegliśmy się, jak wybiła północ. Na stole stały dwie puste flaszki od wina. W głowach szumiało trochę.

Wyszliśmy na ulicę. Deszcz ustał. Z pasterki wracały tłumy. Prawie każdy żołnierz prowadził pod rękę dziewczynę.

Staś Laskowski uczuł się nagle samotny.

— Smutno w tem Luneville. Wracam do pułku. Muszę i tak być przed świtem, żeby się nie spostrzegli, że wziąłem „staremu" konia.

I tu zaczęła się tragedia.

Laskowski pamiętał wprawdzie, że postawił konia w koszarach dragońskich, ale nie pamiętał w których. A w Luneville stały załogą dwa pułki dragonów.

Każdy pułk posiadał pięć szwadronów, a każdy szwadron własną stajnię. Nie licząc taborowych i konnej artylerii.

W każdej stajni stało od 100 do 150 koni. A paliło się tylko jedno światło przy wejściu. Dylemat.

— Jakiż był ten koń do cholery? Może siwy, to go łatwiej znajdziemy.

— Nie. Gniady wałach ze strzałką na czole.

Już dwie godziny szukamy po stajniach. Co drugi koń jest gniady ze strzałką. Czy wałach tego w ciemności stwierdzić nie można.

Co do mnie, mam wrażenie, że trud jest daremny. Po pierwsze, nie znam się na koniach. Po drugie, nowego wierzchowca nowego pułkownika nigdy nie widziałem.

— Siadaj na pierwszego lepszego i kwita.

— A cóż to ja cygan? Muszę go znaleść.

I odnalazł. Tylko, że o siódmej rano.

W międzyczasie uniknąłem kilkakrotnie kopnięcia, raz przewróciłem się przez widły od gnoju i raz stłukłem sobie łokieć o drabinę. Poza tem chciało mi się spać.

Staś odjechał wyciągniętym galopem, aż grudki błota zawirowały w powietrzu. Ale pośpiech w takich wypadkach często bywa zgubny.

Na pół drogi do Mont-sur-Meurthe Staś spostrzegł, że siodło ucieka mu z pod siedzenia. Zgubił czaprak.

Tego brakowało. Piękny pułkownikowski czaprak, z haftowanemi srebrem strzeleckiemi trąbami i cyfrą pułku.

A trzeba trafu, że drogą tą przeciągał owego ranka oddział piechoty marokańskiej. Nikt zaś tak jak Arabowie i Marokańczycy nie przepada za piękną uprzężą.

Laskowski stary kolonista czaprak znalazł. Już u trzeciego z kolei nabywcy. Zwykły śmiertelnik nigdyby w takim wypadku zguby swej odszukać nie potrafił.

Tymczasem jednak zapadł wieczór, a pułkownik, który snać źle spędził święta w Paryżu przyjechał niespodzianie po południu. Pierwszym jego odruchem była wizyta w stajni. Nie można mu tego brać za złe. Baśka Wołodyjowskiego też chodziła do stajni gdy miała zmartwienia...

Biednego Stasia ujrzałem dopiero za dwa tygodnie. Wymizerniał bardzo.

Jim Poker.

„Gwiazdka" na Murmaniu

W dniu wigilijnym służba w blokhauzie wypadła sierżantowi Hurmie z jego sekcją. Sekcja Hurmy w Oddziale była znana z przezwiska „sekcji uprzykrzonych inteligentów". Składała się bowiem z owego mistrza od sztuki stosowanej, malarza od Syreny i jeszcze ze czterech skautów, z których trzej pisywali kilometrowe wiersze, a czwarty — dramaty, nie krótsze od siedmioaktowych. Wszyscy zaś odczytywaniem swoich utworów zatruwali Oddziałowi życie.

O godzinie, wyznaczonej do zmiany załogi blokhauzu, Hurma z tą sympatyczną szóstką leguńską wyruszył na linię. Ciągnęli za sobą sanki, naładowane stosem koców i futer, tudzież jadłem wigilijnem. Na czele pochodu szedł pan sierżant, niosąc oburącz z celebracyjną powagą, a uwagą potężny gąsior gliniany, w którym chlupał rum z miłą wytrawnemu uchu melodyjnością nienapoczętej pełni w naczyniu.

Było polarne południe zimowe. Słońce znajdowało się u szczytu tego małego półkola, które zakreślało się teraz co dnia tuż nad samym horyzontem zatraconym w śniegach. Dokoła bielała pustynia śnieżna. Gdzieś na linji widnokręgu bór, malejący wskutek oddalenia, czerniał, jak wąska tasiemka aksamitu. Na dookolnym placu różowiał i fiolecił się od niskiego światła słonecznego śnieg, gruby na parę łokci. Odcinały się na nim czarnozielone wierzchołki świerków, zawianych prawie do szczytu. Tam i sam biegł i krzyżował się wklęsły ślad stóp ludzi, którzy tędy przebrnęli. Te podwójne łańcuszki podeptań nieskazitelnego śniegu wzbudzały przelotną smętność w refleksyjnych duszach „inteligentnej sekcji", gdy przeszła, do śladów już istniejących przybyły nowe takie same, ale jeszcze więcej sieroce jakieś.

Za chwilę wojacy uplacowali się w blokhauzie i ogarnął ich zadumany smutek, mający w sobie coś uroczystego. Przecież była dziś Wigilja. Myśli z niesfornych głów pomknęły daleko, daleko przez zaśnieżony obszar tysięcy mil, jak jaskółki rozświegotane tkliwie. W dniu powszednim mieli czas zajęty ciężką służbą lub beztroskiem próżniactwem żołnierskiem i nie zabijali sobie głowy byle czem. Wieści o kraju brakło. W listopadzie dowiedzieli się wprawdzie z komunikatów angielskich, że Niemcy wojnę przegrali, ale o Polsce nie było nic. Co więcej, chodziły bajędy o wielkiej anarchji i głodzie w kraju. Więc chłopcy ścisnęli zęby na łacniesze wytrwanie, splunęli w garść, by lepiej wyobracać karabinem, i robili dalej to, co dobremu żołnierzowi przystoi: nie mędrkować lecz strzelać i kłuć, kogo rozkażą. Czasami wydawało się im, że zaborczości angielskiej wysługują się po próżnicy. Hurma, były żołnierz pruski, pouczał swoją „inteligencję", gdy się to rozpolitykowała:

— Co za austryjackie gadanie. Przychodzi komando baczność, to jest baczność. Od myślenia — komendant, a ty — żebyś nie myślał a słuchał. Jak ta skapujesz tym swoim jenteligentnym łbem, to powiesz, żeś nie rekrut, a żołnierz całą gębą.

Należy zaznaczyć, że „rekruty", również jak ich sierżant, byli wszyscy udekorowani najwyższym stopniem angielskiego „military medal'u", nie mówiąc o „mentolach" austrjackich, któremi się nie chwalono, bo uchodziło to za zły ton. Lecz Hurma miał swe własne pojęcie o wojskowości.

Teraz, gdy miny jego podkomendnych wyglądały poważniej, niż zwykle, odbijał od nich chłopskim humorem i tą poufałością w sobie, która cechuje starych żołnierzy. Gdy inteligenci pod wpływem chwili tradycyjnej pogrążyli się w cichem roztęsknieniu, czynna natura Hurmy wyjawiła się w innym kierunku. Hurma rozumował, przychodzi Wigilia, to jest Wigilia i zachować ją trzeba, jak należy. Więc wszystko ma się odbyć pod biegunem, tak samo jak pod Inowrocławiem, jak u polskiego chłopa odbywało się od wieków.

Tedy zabrał się do rozładowania przywiezionych sań. Sam pracował, inteligentów poganiał. Rozkazy wygrzmiewał, jak kapitan statku, mówiący z tuby żeglarskiej. A urządzenie blokhauzu na święto odprawował z taką powagą a godnością, jak co najmniej komendant flamańskiego pancernika, gdy rzuca ze swego pomostu krótkie zlecenia, w lot przez majtków wykonywane.

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkano pod improwizowany obrus nakłaść siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej słomy, zdradzający jednak, że go wydarto po barbarzyńsku z nowego poszycia cudzej strzechy. Na pokrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztućce. Trochę tylko dziwnie wyglądał ten wigilijny stół polskiego żołnierza: w pośrodku nakryć stał kulomiot na sprytnie rozstawianych nóżkach rusztowania firmy Wickerset Co, niby potworny konik polny, wysuwający na dwór przez strzelnicę jadowity pyszczek lufy z muszką na końcu. Z boku trajkotliwego owadu zwieszała się, niby pięknie fryzowany pas, wstęgą nabojów, lśniącą niklem i mosiądzem.

— — — — — — — — — — — —

Wtem posterunek, wystawiony na zewnątrz, doniósł, że na niebie zalśniła już wyczekiwana „pierwsza gwiazda". Wówczas Hurma wziął ze stołu talerz, na którym były nakruszone białe galety angielskie. Zebrał dokoła siebie podkomendnych, z biskupim majestatem przeżegnał pszenne okruchy i przełamał się nimi, jak opłatkiem, ze swoją sekcją. Spoważnieli wszyscy; nawet malarz od Syreny uczynił zadość tradycji z widocznym wzruszeniem. Po czym zasiedli do stołu, udekorowanego kulomiotem. Spożyto barszcz z „uszkami", osobiście ugotowany przez Hurmę. Zabrano się do pieczonych i faszerowanych ryb z gatunków miejscowych. O tych rybach Hurma mawiał, że ani jedna nie nazywa się po ludzku; istotnie nazwy brzmiały po samojedzku.

Za stołem długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to była, lecz raczej msza dusz polskich, wpół tylko obecnych tam, gdzie ciało. Ktoby to widział, nie dostrzegłby nic, prócz pewnego skupienia na twarzach biesiadników. Ale wszystkie piersi rozpierała smętna wielkość roztęsknionego tułactwa w imię poety, że ich duch „po słupie jasności księżycowej odchodził na południe"...

Po którymś daniu Hurma dał hasło do picia, umoczywszy wiechcie wąsów w kubku z rumem. Nastrój od alkoholu się rozchwiał. Rozwiązały się języki. Rozmowa była niejako echem poprzedzającej zadumy.

— Ciekawym, kiedy to się skończy? — zaczął jeden z inteligentów.

— Co niby?

— To taczanie naszymi rękami bolszewików, jak bałwanów po śniegu.

— Miła zabawka. Ale już ręce od niej mdleją. Mogliby nas użyć do poważniejszej roboty. Jechaliśmy przecież do Francji.

— A tu wysługujemy się Anglikom za ten podły rum i marynowaną małpę.

— Dajmy na to — za Polskę...

— Swoją drogą czas nam do Francji.

— A czegoś we Francji nie widział. Tam już ludziska pogodzili się, bo za dużo nabili sobie guzów.

Na to sierżant Hurma.

— O, do tej Francji, niech ino przyńdzie befel, to w dyrdy pochybam. Mam tam swój jenteres.

— Jaki?

— Pójdę pod ich cholerny Werdun, żeby go siarczyste najjaśniejsze! I powiem: panowie Francuzy, ta oddajta mnie te trzy paluchy, cośta mie z lewej łapy utrącili, kiedy ja we szwabskim glicie zębami gryz wasz zatracony fort Dumon.

W trakcie gawędy dał się słyszeć z dworu okrzyk wartownika: „Stój!! kto idzie?", — potem chrzęst kroków na śniegu. I do blokhauzu wszedł komendant Oddziału.

Komendant, po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał dech. Gy jako tako odsapnął, stanął w postawie, która jego podkomendnym była dobrze znaną, a zwiastowała dłuższą przemowę. Krasomówstwo było słabą stroną komendanta. W przemówieniach zawsze go ponosił temperament gołowąsego kapitana. Jeśli zaczynał od pochwały, kończył na wymyślaniach, od których uszy więdły. Jeżeli wznosił za czyje zdrowie toast, to wieńczył go tyradą o wiecznym odpoczynku.

To też malarz od Syreny, generalny odtwórca mów komendanta, trącił sąsiada pięścią w bok i rzekł:

— Uwaga. Zaraz dogada się do stworzenia świata.

Komendant odchrząknął i otworzył już usta w sposób, będący zapowiedzią nie byle jak utoczonego okresu. Wtem — machnął ręką i głęboko wzruszonym głosem zawołał:

— At, co tu gadać! Dajcie mi chłopcy, lepiej pyska. Tylko co otrzymałem wiadomość. Polska jest wolna i wielka. Wszystko, co wiemy — łgarstwo!

I chwytając żołnierzy po kolei w ramiona, sypał:

— Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztubacy porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. — Wojsko maszeruje na Wilno. — Poznań nasz. — Muśnicki grzmoci szwabów. — Polska będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwariuję!!!

I zwariował — o ile łzy, ciurkiem płynące po twarzy żołnierza, są szaleństwem. Za przykładem dowódcy powariowali żołnierze. Szarże w zgromadzeniu znikły. Ściskano się i całowano bez względu na nie. Nie gorszyło to nawet Hurmy, który, cieknąc jak fontanna, wycierał wąsiskami wilgoć z policzków „wielkiego drania malijarza".

I, z gardzieli, założonych szlochem szczęścia, wyrwała się — razem u wszystkich — pieśń, zrodzona w godzinie najgłębszej niedoli Narodu. Jej znana melodia jest posępna, jak psalm nieszporny. Lecz pieśń, oskrzydlona bezdennym zapałem młodych dusz, brzmiała fanfarami, jakich w sobie nie ma nawet płomienna Marsylianka. A słowa:

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!"

rozległy się pełnią takiego triumfu, a zarazem groźby niezłomnej, że zdało się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego, — że tu, w tym blokhauzie, stanie się naraz jakiś widomy znak, cud — tyle potęgi ducha zalewało śpiew i — wyszarpnęło się zeń, jak z pochwy wylata nagi jasny miecz.

W tym śpiewie zbłąkani pod obcy biegun tułacze wołali z całej piersi na cześć Polski, co im przysłała o sobie wieść. Tą „Rotą" żołnierze dobrowolni, swej Ojczyzny urzędowo nie zaprzysiężeni, wszystką duszą zaprzysięgali się teraz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na śmierć, na życie, na dalszy tułaczy los.

Kiedy byli jeszcze, jak ów bezpański pies, o którego krzywdę nikt się nie upomni, — każdemu, kto chciał ich znieważyć, pokazywali wilcze kły, a na widok ręki chcącej pogłaskać, pogardliwie się usuwali. Teraz, kiedy było wiadomo, że są żołnierzami Państwa, że nie legionem już są, lecz wojskiem, armią — wypełniły się rogate dusze pychą, dumą, uczuciem, któremu brak wprost nazwy.

Przed tym gardzili możnymi sprzymierzeńcami, jako wojskiem, które jest „cywil-bandą", jednak czuli respekt i zazdrość dla ich państwowości, bo sami jej nie posiadali. Lecz teraz cała Anglia, z jej Indiami i Australią, z jej wszystkimi oceanami, na których słońce nigdy nie zachodzi, wydała się nowokreowanym obywatelom-żołnierzom swojej własnej Rzeczypospolitej jakimś niezmiernie wielkim... ubóstwem, nędzą śmiechu wartą.

Słowem powariowali. I wariowali tej nocy do rana, śpiewając, krzycząc, śmiejąc się, płacząc, tańcząc, tarzając się po śniegu, przepijając do malowanej Syreny, chodząc po blokhauzie i dookoła niego na rękach, na głowach...

Była to w ich życiu Wigilia najpiękniejsza. I najpiękniejszą zostanie, bo się taki cud w życiu nie powtarza.

Eugeniusz Małaszewski.

Dwa wieczory wigilijne

Strzępy wspomnień z wielkiej wojny

Żołnierskie wspomnienia przeżyć osobistych na szlakach wielkiej wojny obejmują pewien drobny okruch dziejów minionej przeszłości, które z natury rzeczy wkraczają raczej w krąg legendy aniżeli właściwej historii.

Z biegiem bowiem lat przygasa zwolna i nieuniknienie wiele barw i blasków ongiś przeżytych wrażeń — cierpień czy radości, smutków czy nadziei — ustępując miejsca dalekiemu ich odbiciu.

Podobne konarom drzewa, które u schyłku jesieni straciły splendor swego listowia — pozostają obdarte ze szczegółów zasadnicze rysy tych chwil, w których serce ludzkie biło silniej niż zazwyczaj.

W wieczór wigilijny zmartwiałe napozór konary pamięci zdają się okrywać nagle żywym, choć dobrze już postrzępionym, liściem wspomnień. — Z rozproszonych mglistych smug tworzyć się poczynają sylwetki dawno widzianych postaci — usłyszeć się daje ponownie dźwięk niegdyś zasłyszanych słów — tworzy się opowieść wigilijna.

Rok 1914. Bordeaux (Francja).

Wraz z Edkiem Zagwożdżanem, krewkim „oczajduszą" z Warszawy byliśmy już od pierwszych dni października zaszeregowani, jako ochotnicy na czas trwania wojny, w 118-ym Pułku piechoty francuskiej i wtłoczeni w ciemno-granatowe „katany" i czerwone długie spodnie żołnierzy 2-go stopnia. Zdołaliśmy już przebrnąć przez wraże regulaminy służbowe, poznać tajniki musztry pod ciężką ręką Korsykańczyków i wejść o tyle o ile w arkana wiedzy wojskowej. Chwila naszego wyjazdu na front przeciw Niemcom zdawała się zbliżać wartkim krokiem.

Tymczasem potężna fala odpływu unosiła z Bordeaux dniem i nocą, w kierunku frontu transporty wojska i materiału wojennego. Z falą zaś powrotną przyjeżdżały setki rannych Francuzów, a wśród nich wielu Polaków, bądź z pułków francuskich i Legii Cudzoziemskiej, bądź też z szeregów pruskiej armii.

Przebywająca z dziećmi w Bordeaux hr. Jadwiga Kwilecka z Jankowic w Poznańskiem roztoczyła z całym poświęceniem opiekę nad rannymi Polakami. Dzięki jej niestrudzonym interwencjom u władz, Francuzi zaczęli zwolna odróżniać rannych jeńców Polaków od Niemców. W niektórych szpitalach ukazały się nawet chorągiewki polskie na ścianach i dwukolorowe kokardki nad łóżkami. Oto nazwiska kilku rannych Polaków, którzy w 1914 r. przebywali w szpitalach w Bordeaux: Bogacki Ludwik z Poznańskiego, ciężko ranny w piersi odłamkami francuskiego granatu, który zmarł 1 października, Szarzyński Józef z pod Wrześni, wąsaty górnik Suchanecki Stanisław i Józef Wielbiński, obydwaj również z Poznańskiego, Żurek, Gorlikowski, Synak Antoni, Stawowski oraz ranni w szeregach Legii Cudzoziemskiej, Władysław Borkawski, art. malarz z Warszawy, Frucht Rachmel, krawiec i Mączyński Jan.

Nawalnica Niemiecka zbliżająca się pod mury Paryża i powstrzymana zwycięstwem nad Marną, przypędziła również do Bordeaux grono Polaków, przeważnie studentów wyższych uczelni, którzy odcięci od kraju i czasowo z płótnem w kieszeni chwycili się różnych sposobów zarobkowania.

Nosiło więc bractwo, ubrane w dobrze skrojone marynarki i wyprasowane spodnie, ciężkie worki ze zbożem w porcie, ładowało węgiel na statki, lub też woziło po mieście publiczność francuską w roli motorniczych i konduktorów tramwajów miejskich.

Zasłyszana przypadkiem na ulicy polska mowa dała nam sposobność do zawarcia znajomości i bliższego następnie współżycia. Byli w tej gromadzie: inż. Stefan Holtorp, z Nancy, pracujący przejściowo w stoczni portowej, Tadeusz Sierakowski, student Politechniki lwowskiej — okazyjnie konduktor tramwajowy, i Kocot Stanisław, słuchacz W. S. H. z Warszawy — również tramwajarz. Wszyscy trzej znaleźli się później jako ochotnicy w Polskiej Armii Błękitnej we Francji. Tramwajarzami byli również Kazimierz Prasałek i Wiktor Łukasiewicz, studenci z Warszawy. Grono powiększyło się o dwóch przybyszów ze Szwajcarji Radońskiego K. i Sokolnickiego M., który później pracował w Komitecie Narodowym w Paryżu.

Nadszedł dzień wigilijny, mglisty i ponury. Uzyskawszy zwolnienie ze służby i przepustki, udaliśmy się z Zagwożdżanem w odwiedziny do rannych Polaków w różnych szpitalach, by podzielić się z nimi przynajmniej sercem, gdyż opłatków nie mieliśmy. Wiara była wszystka świeżo wygolona i o uroczystych minach. W rozmowach padały słowa tęsknoty za krajem, za swoimi i pytania kiedy wojna się skończy i co dalej będzie.

— A jak tam może być dzisiaj u nas w kraju? — odezwał się Suchanecki. — Pewnikiem siedzą sobie wszyscy przy wieczerzy, śpiewają polskie kolędy, dziecioki cieszą się choinką, a ja tu leżę wśród obcych z „girami" przetrąconymi, pewnie już kulasem do końca życia zostanę.

— Podobno mo być Polska i król polski — dorzucił Wielbiński — siostra nasza (sanitarjuszka) nam to z gazety francuskiej czytała. Ruski car już się na to zgadza, ale Prusok pewnikiem mu nieustąpi.

Wśród takich rozmów myśli wszystkich biegły w strony rodzinne, a oczy jakąś mgłą się zasnuwały.

Na dalsze spędzenie wieczoru wigilijnego skrzyknęliśmy się gromadą do mieszkania Sierakowskiego przy ulicy Ornano. Przyszedł Holtrop, Prasałek, Kocot, Sokolnicki, Łukasiewicz i Radoński.

Na zaimprowizowanym stole pojawiły się różne „frykasy", przeważnie przyniesione w kieszeniach od palt, orzechy, daktyle, śliwki suszone. Nalewkę o podejrzanym kolorze spreparował Zagwożdżan ze spirytusu 95%-go. Ponadto kilka butelek, zupełnie nieomszałych, wina bordowskiego ozdabiało swoimi sylwetkami zastawę naszego stołu wigilijnego.

Nastrój wzrastał w miarę jak stół pustoszał. Zaprosiliśmy do naszego grona gospodarza domu Francuza z żoną i córką, którą Sierakowski szczodrze zaczął obdarzać pocałunkami w czasie gdyśmy z rodzicami pili wino. Zaśpiewaliśmy kilka pieśni i kolend kulejących nieco pod względem intonacji, ale trudno, żaden z pośród nas śpiewakiem operowym nie był. Młodzieńczy zapał ogarnął nas wszechwładnie a pulsujące życie niedopuściło myśli o tym, co może być jutro.

Rok 1915. Francuskie okopy między Avocourt a Wzgórzem 304.

Okopy pełne wody i grząskiego błota. Niebo zasnute ponurymi chmurami — zimna i lepka mgła włóczy się nad ziemią — chwilami siąpi deszcz.

Kilka miesięcy pobytu na froncie zdołało już dostatecznie znieczulić wrażliwość i nerwy. Wszelkie trudy i cierpienia, nawet sama śmierć, stały się naturalnymi zjawiskami dnia i nocy.

Po ostatnich atakach front znieruchomiał. Dzień dzisiejszy przeszedł względnie spokojnie. Sąsiedni tylko odcinek ucierpiał mocno od bombardowania — kilku zabitych i rannych — część okopów zburzona.

Zmierzch zwolna spłynął po stokach wzgórza 304.

Za kilka godzin mają nas zmienić. Odcinek zajęty przez nasz 141-szy pułk ma przejąć 3-ci liniowy. Pójdziemy kilka kilometrów na tyły na odpoczynek. Cieszymy się na myśl, że będzie można się umyć, ogolić, zjeść coś lepszego i wyspać się.

Kilku żołnierzy z mego plutonu stoi w okopach, reszta razem ze mną spoczywa w smrodliwym ziemnym schronie na mokrej słomie. Błotem okryci prawie od stóp do głów leżymy pokotem jeden obok drugiego. Pośrodku świeczka umieszczona na rękojeści bagnetu wbitego w ziemię, migoce małym światłem. Żołnierze bądź drzemią, bądź też prowadzą między sobą jakieś swary w niezrozumiałej dla mnie gwarze południowo-francuskiej.

Nagle wstrząs ziemi i huk wybuchającego gdzieś w pobliżu granatu. Za nim dalsze wybuchy — rozpoczęło się niespodziewanie silne bombardowanie naszego odcinka. Wyszedłem z naszej nory ziemnej i ujrzałem linie bojowe oświetlone rakietami.

Gotowi nam popsuć wieczór! pomyślałem. Przycichła jednak niebawem burza. Rezultat — dwóch lekko rannych i jeden zabity.

Wróciłem do schronu i ległem na słomie.

W pewnej chwili ktoś wszedłszy do nas krzyknął po francusku:

— Gdzie jest kapral Polak? Akcent pytającego był jakiś dziwnie twardy, nie francuski.

— O co chodzi? — burknąłem niechętnie z mego kąta.

— Ah! to wy? Ja też jestem z Polski. Pajzderski Franciszek, kapral 3-go liniowego.

Usłyszawszy te słowa zaświeciłem moją świeczkę i wówczas ujrzałem postać wpół pochyloną o szerokich barach, ubraną trochę, jak mi się wydawało cudacznie, gdyż na kapocie żołnierskiej wisiał rodzaj ornatu ze skóry baraniej, przepasanej pasem, lewe oko owiązane grubym bandażem a nim kepi nasadzone na bakier. Nad podniesionym kołnierzem kapoty zwisały wiechy płowych wąsów. Uścisnąłem wyciągniętą rękę, podaną mi z jakimś radosnym uśmiechem i prosiłem go by usiadł obok mnie.

— Jestem sam jeden Polak w moim pułku — ciągnął Pajzderski — Dziś wieczór wigilijny a Francuzi nie znają się tak na świętach Bożego Narodzenia jak my Polacy. Wiedziałem o Was, że jesteście gdzieś w 141-ym. Szukałem Was i znalazłem. Chcę Wam życzyć wszystkiego dobrego w ten wieczór i obyśmy się znaleźli zdrowi w wolnej Polsce. Przyniosłem ze sobą dobry „Calvados" to się napijemy.

„Calvados" był rzeczywiście dobry. Pajzderski mówił ciągle, opowiadał o swoim życiu, o swoich dotychczasowych przeżyciach, o rodzinie, o Polsce i nie pozwalał mi przerwać, jak gdyby chciał wykorzystać każdą chwilę dla siebie przed naszym rozstaniem.

— A co Wam w oko? — zdołałem wreszcie go zapytać.

— A nic! Ułamek drutu kolczastego przy wybuchu pocisku mi go niedawno wybił. Ale prawe mam zdrowe i dobre do strzału. Jeszcze niejednego psiawiarę z przeciwka ściągnę. A musimy ich pobić, bo to największy wróg Polski.

Rozmowę naszą przerwał głos sierżanta: „Zmiana idzie!" Zerwaliśmy się z legowisk i uścisnęli jeszcze raz nasze dłonie długo i serdecznie.

Kapral Pajzderski z 3-go liniowego przypomniał mi, że dziś jest wieczór wigilijny. Z zawodu tokarz z Kieleckiego, ochotnik na czas trwania wojny w Armii Francuskiej.

Pisywał później do mnie listy koślawym pismem spracowanej ręki. Był jeszcze dwa razy ranny i wreszcie, jak się później dowiedziałem, został w marcu 1916 roku rozszarpany przez pocisk niemiecki. Nie wrócił do Wolnej Polski, o której myślał. Spoczywa gdzieś na jakimś odcinku dawnego frontu we Francji wiecznym snem żołnierza.

Opuszczając okopy wśród ciemnej nocy, spowite mgłą, z którą się zmieszał ciężki dym wybuchłych pocisków, rozstałem się z Pajzderskim z pewnym smutkiem. Wszak podobnie jak on, byłem i ja sam jeden Polak w moim Pułku. Długo towarzyszyły mi tej nocy jego słowa:

Dziś Wieczór Wigilijny! życzę Wam byśmy zdrowi znaleźli się w Wolnej Polsce!

Tadeusz Matuszewski, kpt. rez.

Zwyczaje świąteczne u sprzymierzonych

Nie ma tak odległego zakątka ziemi, gdzieby ludność chrześcijańska nie święciła dnia Bożego Narodzenia nie ma narodu chrześcijańskiego, któryby w tradycyjny wieczór wigilijny nie ujawnił swej radości i wesela. Oczywiście u każdego z narodów związane jest święto Bożego Narodzenia z odrębnymi zwyczajami ludowymi, ze swoistą tradycją i wierzeniami. U niektórych ludów ma ono charakter głównie religijny, a uroczystości z nim związane zamykają się w granicach rodziny, u innych zaś narodów na plan pierwszy wysuwa się nie obrzęd i nie nabożeństwo, lecz beztroska radość i zabawa, która zespala wszystkich bliskich i dalekich. Przypomnijmyż sobie jak obchodzą te święta narody, z którymi żołnierz błękitny w czasie organizowania swej armii żył bardzo blisko.

W Anglii zwie się święto Bożego Narodzenia „Christmas". Jednym z głównych akcesoriów świątecznych jest tak jak i u nas „drzewko", które jednak u Anglików spełnia zupełnie inną rolę niż w Polsce. W czasie wieczerzy wigilijnej wnosi się do pokoju malutką sosenkę, przybraną najróżnorodniejszymi podarunkami. Sosenka ta wędruje z rąk od rąk i każdy z biesiadników zdejmuje z niej prezent, dla niego przeznaczony. Na tej misji kończy się rola „drzewka".

Prawdziwie angielskim zwyczajem jest jednak inny zwyczaj, panujący w Brytanii od niepamiętnych czasów. Oto wewnątrz każdego mieszkania zawiesza się u sufitu świecznik lub gałąź jemioły. Każda pani, która stanie pod gałęzią, otrzymuje od przedstawicieli „płci brzydkiej" kilka całusów. Używa się naturalnie różnych forteli, by na błogosławione miejsce pod świecznikiem przesunąć niewiasty młode i piękne, a usunąć zeń takie, które zgłaszają się na ochotnika, najczęściej stare i brzydkie.

Poza tym spędzają Anglicy święta najchętniej w klubach i restauracjach, gdzie ucztuje i zabawia się przy stołach świątecznych do późnej nocy. Podczas gdy starsi tańczą i ucztują, czekają dzieci innej niespodzianki. Oto odpowiednio umundurowany „funkcjonariusz świąteczny", przybrany w futro i wysoką czapkę, oraz przystrojony w długą siwą brodę, roznosi dzieciom specjalnie przygotowane podarki świąteczne.

W Italii ma święto Bożego Narodzenia charakter bardziej podniosły i ściślej religijny. Dzieci włoskie nie otrzymują w samo święto żadnych podarków. Jedyną ich zabawą świąteczną jest klejenie szopek i żłobków w których stawiane są papierowe figurki Matki Boskiej, Dzieciątka, oraz innych postaci świętych. Podarunki przesyła się dopiero na „Trzech Króli". Przynosi je zazwyczaj czarownica „Besana", kobieta ucharakteryzowana za wiedźmę, z długim nosem i ogromnymi okularami.

Francuzi święcą Boże Narodzenie bardzo wesoło. Ich święto ma w sobie urok beztroskiej wesołości, lekkomyślnej, nieledwie dziecięcej zabawy. Niezwykły widok przedstawiają w okresie świątecznym ulice Paryża. Przez najelegantsze bulwary suną dźwięcząc dzwoneczkami, budy cyrkowe. Na środku, popisują się linoskoczkowie i błazny. Najbardziej dystyngowani panowie i najelegantsze panie uprawiają prawdziwie ludowe rozrywki, jak np. rzucanie obręczami na flaszki, strzelanie do celu i t. p. Słowem, średniowieczna, ludowa Francja z całą swą barwnością i jarmarcznym zgiełkiem, odżywa na czas świąt Bożego Narodzenia.

Tylko wieczory poświęcone są rozrywkom bardziej nowoczesnym. Bary, kabarety, rewie i teatrzyki prześcigają się wzajemnie rozmaitością programów i ekscentrycznych „przebojów" świątecznych, oczywiście zdobycie biletów jest rzeczą bardzo trudną, już na tydzień bowiem przed tym są wszystkie miejsca zamówione.

Właściwe święto rozpoczyna się około północy. We wszystkich restauracjach zastawiane są stoły świąteczne przy których— po obfitej kolacji — zaczyna się zabawa aż do białego rana. Tradycja „drzewka" nie jest we Francji zbyt rozpowszechniona. Tylko nieliczne domy, a przeważnie hotele i restauracje, sprawiają „drzewka", które jednak natychmiast po wieczorze wigilijnym znikają. Również nieznany jest zwyczaj przesyłania podarunków. Czynią to dopiero na Nowy Rok.

Na drugiej półkuli święto Bożego Narodzenia ma charakter podniosłego skupienia. W kościołach wszystkich wyznań odbywają się koncerty utworów religijnych, stojące zazwyczaj na wysokim poziomie artystycznym. Ponadto przepędzają Amerykanie święto przeważnie w gronie rodzinnym.

Zwyczaj obdarowywania dzieci ma tu swoistą, ciekawą formę. Oto na kilka dni przed świętami dzieci udają się do sklepów, gdzie czeka na nie specjalny „urzędnik świąteczny". W ogromnej księdze zapisuje skrzętnie życzenia małych klientów, przyjmując także listy z zamówieniami. W dniu święta wszystkie zamówienia bywają wykonane. Wprawdzie ten zwyczaj odbiera upominkom urok niespodzianki, ale pozwala z drugiej strony zadowalać wszystkie życzenia „pociech".

Liczne kolonie polskie w miastach i na farmach i amerykańskich zachowały ponadto wszystkie zwyczaje i obrzędy ojczyste.



Styczeń w dziejach Polski

Drugi to miesiąc w życiu Polski, który na zawsze pozostanie niezapomniany, jego bowiem nazwą ochrzczono ostatni tragiczny poryw oręża polskiego w r. 1863, znany powszechnie pod nazwą Powstania Styczniowego, od którego wybuchu mija już 75 lat.

Tej dostojnej rocznicy i ostatnim, pozostałym jeszcze przy życiu weteranom 1863 r., poświęcimy następny styczniowy numer „Błękitnego Weterana".

Strajk szkolny

Z końcem stycznia mija 32 lat od chwili wybuchu wybuchu strajku szkolnego, który zapoczątkował na terenie b. Kongresówki erę walki o narodowe szkolnictwo.

Po stłumieniu powstania styczniowego, rząd rosyjski przystąpił z całą gwałtownością i brutalną konsekwencją do unifikacji Królestwa Polskiego z cesarstwem rosyjskiem, główną uwagę zwracając na szkolnictwo polskie, będące wówczas w pełnym rozwoju pod wpływem reform hr. Wielopolskiego.

Zrusyfikowano więc Szkołę Główną w Warszawie, i szkoły średnie. Pedagogów Polaków zastępować zaczęli nauczyciele Rosjanie o wątpliwych kwalifikacjach naukowych, a język polski usunięto całkowicie ze szkół. Jedynie religję wykładano po polsku, ale i tu zaczęto wprowadzać ograniczenia. W czasie wykładów ośmieszano historję polskiego narodu.

Młodzież szkolna wykazała w tym okresie ucisku ogromny hart ducha i patryotyzm. Przeciwko rusyfikatorskim zarządzeniom rosyjskim wybuchać zaczęły coraz gorętsze protesty uczniów, jak w Białej Podlaskiej i Siedlcach. Młodzież szkolna wczas spostrzegła, że w związku z klęską militarną Rosji w r. 1905 źle się dziać poczyna w państwie tyranów, uznała więc ów moment za najodpowiedniejszy, aby rozpocząć walkę o szkołę polską.

Strajk rozpoczął się najpierw na Politechnice Warszawskiej, gdzie na wiecu dn. 28 stycznia 1905 r. Polacy powzięli odpowiednią rezolucję, podobnie postąpili słuchacze uniwersytetu Warszawskiego. Postawa studentów — Polaków była taka, że nie mogło być już mowy o powrocie ich do studjów w języku rosyjskim.

Podobną akcję w szkołach średnich prowadzili dr. Ignacy Kozielewski, członek Komisji Gimnazjalnej. Agitacja jego natrafiła na grunt odpowiedni, gdyż młodzież pałała żądzą odwetu, a czasy były rewolucyjne, nacechowane dezorputacją władz.

Pierwsze kroki poczynił Piotrków Trybunalski w dniu 1 lutego 1905 r., gdzie zastrajkowały gimnazja męskie i żeńskie, oraz trzechklasowa szkoła miejska. To samo uczynił Sosnowiec, Łowicz, Siedlce, Łomża, Kielce, Kalisz, Włocławek i inne miasta. Władze szkolne rosyjskie zachowywały się wobec postulatów strajkującej młodzieży przeważnie negatywnie.

Oberpolicmajster Warszawy baron Nolken zezwolił nawet na odbycie wiecu rodzicielskiego dnia 13 lutego. Na tym wiecu, w obecności kuratora Szwarca, zapadła uchwała utrzymania strajku szkolnego az do września, celem dania możności władzom szkolnym opracowania programu szkoły narodowej w języku wykładowym polskim.

Z dniem 20 lutego zamarła nauka wszędzie, młodzież wypełniła świetnie swoje zadanie. Strajk szkolny objął wszystkie zakłady naukowe b. Kongersówki. Społeczeństwo słowa dotrzymało i nie cofnęło się z raz obranej drogi. Rząd został zmuszony do wprowadzenia pewnych reform.

W czerwcu 1905 r. specjalny Komitet Reform pozwolił na otwieranie prywatnych szkół polskich bez praw, z obowiązkowym wykładem języka rosyjskiego oraz wykładami geografii i historii Rosji przez nauczycieli Rosjan. Uniwersytetowi przyznano katedry języka i literatury polskiej.

Tak więc zdecydowane stanowisko społeczeństwa odniosło sukces i przy dalszych wysiłkach kraj cały pokrył się siecią polskich szkól prywatnych, które w rozbudzeniu i szerzeniu ducha polskiego doniosłą wielce odegrały rolę.

Walka ta o szkołę polską stanowi jedną z najpiękniejszych kart naszych dziejów porozbiorowych, a zarazem i dążeń o wyzwolenie narodu z pod ucisku zaborców.

Wiarołomstwo Czechów

Po odzyskaniu niepodległości nikt w Polsce nie przewidywał zatargu z Czechami, gdyż sprawa rozgraniczenia Śląska Cieszyńskiego, zdawała się nie nasuwać trudności z racji wyraźnej wówczas linii, dzielącej Śląsk pod względem narodowościowym. Stało się jednak inaczej.

Jakkolwiek przy wspólnym stole postanowiono iż „powiat polityczny frydecki będzie podlegać „Narodnemu Wyborowi pro Slezko", powiaty polityczne bielski i cieszyński „Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego" — to jednak ze strony czeskiej złamano tę umowę.

Zupełnie niespodziewanie wojska czeskie dn. 23 stycznia 1919 r. uderzyły na polskie terytoria śląskie i wobec słabych sił polskich — jako że się nie spodziewali Polacy złamania umowy i napadu — szybko zaczęli posuwać się naprzód.

Ludność polska, byłaby wyparła Czechów, gdyby nie nacisk koalicji. I stało się, że Rada Ambasadorów przyznała później Czechom powiaty frydecki, frysztacki, przeważną część cieszyńskiego — a Polska utraciła około 150.000 rdzennie polskiej ludności, nie otrzymawszy ani jednej kopalni węgla.

Większą wszakże, niż straty materialne, była strata moralna. Wiarołomstwo czeskie i napad na bezbronną granicę w chwili, gdy Polska broniła Lwowa — musiały wykopać przepaść między tymi narodami, której nie zdołało usunąć nawet późniejsze pokojowe pożycie Polski z Czechami.

Faktem jest, który zawsze będzie w naszej pamięci, że za graniczną rzeką Olzą żyje dziś przeszło 150.000 Polaków, którym rząd czeski odbiera wszelkie prawa.

Wyzwolenie Pomorza

W tydzień po ratyfikacji Traktatu Wersalskiego, przez Niemcy Polska rozpoczęła koncentrację wojsk, mających zająć Pomorze.

Początek tej akcji przypadł na dzień 17 stycznia 1920 r. Wojska gen. Prószyńskiego zajmują Iłowo i Golub, a grupa pułk. Skrzyńskiego przesuwa się wzdłuż linii de-

markacyjnej, staczając ostatnie potyczki z Niemcami pod Gniewkowem i Lipiami.

Wyzwolenie stolicy Pomorza, Torunia nastąpiło dn. 18 stycznia. Po południu wkroczyły tam wojska pułk. Skrzyńskiego, witane owacyjnie, przez ludność polską. Po przejęciu władzy miejskiej w ręce polskie, wieczorem uroczyste „Te Deum" w kościołach toruńskich i bicie dzwonów oznajmiło koniec niewoli i powrót do Macierzy.

W tym dniu wojska gen. Prószyńskiego zajęły Działdowo, Lidzbark, Brodnicę, docierając dnia 23 stycznia do Grudziądza. W tym dniu już cała południowa część Pomorza przeszła ostatecznie i na zawsze pod szkrzydła wyzwolonej Ojczyzny. Należało jeszcze oswobodzić część północną i zadanie to przypadło do spełnienia 11 dywizji piechoty wraz z 5-tą brygadą kawalerii.

Bez większych przeszkód wojska nasze dochodzą dn. 23 stycznia do Grudziądza. W tym dniu już cała południowa część Pomorza przeszła ostatecznie i na zawsze pod skrzydła wyzwolonej Ojczyzny. Należało jeszcze oswobodzić część północną i zadanie to przypadło do spełnienia 11 dywizji piechoty wraz z 5-tą brygadą kawalerii.

Bez większych przeszkód wojska nasze dochodzą dn. 31 stycznia do południowej granicy W. M. Gdańska, a 1 lutego do zachodniej granicy polsko-niemieckiej. Ponieważ w Gdańsku przebywał XVII korpus armii niemieckiej, oswobodzenie wybrzeża uległo pewnej zwłoce, gdyż należało przedtem wyjaśnić stosunek wojsk niemieckich do armii polskiej. Ostatnia więc faza zwycięskiego marszu żołnierza polskiego ku wyzwoleniu Bałtyku, odbyła się w dniach 4 — 10 lutego 1920 roku.

I oto na dzień 10 lutego przypadła ta w dziejach naszych niezapomniana chwila, kiedy to nad brzegiem szumiącego Bałtyku pojawiły się sztandary polskie, a następnie odbył się uroczysty akt zaślubin Polski z Bałtykiem. Obejmując wówczas panowanie nad polskim morzem, Polska potrafiła zbudować tam granitowe podwaliny swej potęgi.

Reforma planu Loterii Klasowej

Od Dyrektora
Polskiego Monopolu Loteryjnego
otrzymaliśmy następujący komunikat:

Nawiązując do wyjaśnienia udzielonego prasie przed kilku dniami doszedłem do przekonania, że do pewnego stopnia można pogodzić dążenia graczy obu rodzajów, mianowicie powiększając ilość wygranych kosztem ich wysokości, zachować jednak możliwość wygrania na jeden los większej kwoty. Polega to na tym, że, zachowując wysokość dotychczasowych wygranych, a nawet po części je podwyższając, dzieli się los na większą ilość części z tym jednak, że cena części losu nie będzie zmieniona. W 41 więc loterii los podzielony będzie na 5 części. Każda część kosztować będzie 10 zł. Ogólna ilość losów zmniejszona będzie ze 195.000 do 160.000. Wygrana milion złotych jest zachowana. Główna wygrana I-ej klasy wynosić będzie 100.000 zł., w II-ej — 125.000, w III-ej — 150.000. W ten sposób na jedną część losu przypadnie wygrana mniejsza w IV-ej klasie zamiast 250.000 200.000 zł., w I-ej klasie zamiast 25.000 zł. 20.000, w II-ej klasie 25.000 zł. bez zmiany, w III-ej klasie zamiast 25.000 — 30.000 zł., ale z drugiej strony zamiast jak dotychczas czterech wygrywających, będzie ich pięciu. Szanse wygrania zatem dla wszystkich graczy powiększają się znacznie.

Oczywiście najniższa wygrana powiększona jest do 62.50 zł., tak aby po potrąceniu 20%, odpowiadała ona cenie losu do klasy następnej. W ten sposób więc powiększona zostaje ilość wygranych, a z nią i szanse wygrania, a jednocześnie pozostawia się możliwość wygrania całego miliona — 100.000, a nawet 125.000 i 150.000 zł. Jeżeli więc ktoś chce wygrać większą sumę może wziąć wszystkie 5 części losu.

Nie dałoby się tego drugiego osiągnąć prostym rozbiciem wygranych na mniejsze kwoty. Mam wrażenie, że tym nowym sposobem zadowolni się jeżeli nie wszystkich graczy, to w każdym razie znaczną ich część. Z tą myślą wprowadza się na próbę ten nowy system oparty na zasadzie, iż zwiększa się ilość mniejszych wygranych, zachowuje się jednocześnie możliwość wygrania większych sum.

Słowa Naczelnego Wodza

Podczas walnego zjazdu Związku Peowiaczek, Marszałek Śmigły - Rydz dokonał dekoracji sztandaru tej organizacji krzyżem orderu „Virtuti Militari", nadanego jeszcze dnia 2 grudnia 1921 r. przez Marszałka Piłsudskiego.

Przy tej sposobności Naczelny Wódz wygłosił przemówienie, w którym m. in. rzekł:

„Najistotniejszym elementem pracy żołnierskiej, bez którego ta praca nie da się pomyśleć i nie istnieje, jest umiejętność poświęcenia, oddania swego życia. Tak było zawsze i tak zawsze pozostanie.

Kiedy jednak żołnierz przeciętny w bitwie zbiorowej życie swoje poświęca pod wpływem podniet, akcesoriów bitwy, pod okiem swych kolegów, przy wspierającym braterskim słowie i przy wspierającym ramieniu koleżeńskim, to z Peowiaczkami było inaczej — i to jest charakterystyczną cechą i znamieniem żołnierskiej pracy Peowiaczek. Pozbawione akcesorii wielkiej bitwy, pozbawione bijącego tuż obok serca koleżeńskiego, same musiały decydować się na oddanie życia, a niejednokrotnie na długotrwałą przed tym katownię, czerpiąc na to siły tylko z własnej duszy.

Gdy dekoruję ten sztandar krzyżem Virtuti Militari, to jednocześnie oddaję głęboką cześć wielkiej przeszłości żołnierskiej Peowiaczek i ich żołnierskiej zasłudze, która sprawiła, że do tych pięknych kolorów tego sztandaru dołączają się szafirowo-czarne kolory wstążki Virtuti Militari, a do głębokiej symboliki tego sztandaru dołącza się piękna symbolika tego żołnierskiego srebrnego krzyża".

Z ŻYCIA STOWARZYSZENIA

Interwencja Zarządu Głównego
w sprawach odznaczeń niepodległościowych

Wobec bliskiego terminu przyjmowania wniosków na odznaczenia niepodległościowe, który upływa w dniu 31 grudnia 1937 roku, Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia, chcąc umożliwić poczynienie starań o wyzej wymienione odznaczenia kolegom i towarzyszom broni przebywającym poza granicami kraju, a zwlaszcza w większych zgrupowaniach na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, zwróciło się specjalnym pismem do Towarzystwa Pomocy Polonii Zagranicznej z prośbą o współdziałanie w Sejmie i Senacie w sprawie uzyskania przedłużenia terminu składania wniosków niepodległościowych do końca 1938 roku, gdyż wyznaczony termin w dniu 31 grudnia r. b. przez Komitet Krzyża i Medalu Niepodległości, jako ostateczny, nie mógłby być dotrzymany przez naszych kolegów z zagranicy ze względów technicznych, odnoszących się do samego opracowania wniosków oraz przesłanie ich pocztą do odnośnej Podkomisji przy Komitecie Krzyża i Medalu Niepodległości.

Niezależnie od powyższego Prezydium Zarządu Głównego przeprowadziło cały szereg rozmów z czynnikami miarodajnymi w sprawie przyśpieszenia rozpotrywania wniosków niepodległościowych członków Stowarzyszenia, które oczekują już na ostateczną decyzję w Komitecie Krzyża i Medalu Niepodległości, jak również Prezydium zabiega usilnie o uznanie naszej organizacji za organizację niepodległościową, której członkowie mieliby te same uprawnienia, jakie przysługują pokrewnym związkom historycznym.

Motywy tych starań Prezydium Zarządu Głównego są oparte na istotnych zasługach niepodległościowych kolegów zrzeszonych w Stowarzyszeniu, którzy wykazali się pracą w tym zakresie, tak przed wielką wojną, jak i w czasie swojej ofiarnej służby żołnierskiej w Armii Polskiej we Francji.

Delegacje Zarządu Głównego u ministra Delbosa

W dniu 6 grudnia b. r. została przyjęta na audiencji w gmachu Ambasady Francuskiej w Warszawie przez bawiącego z wizytą w Polsce, francuskiego Ministra Spr. Zagr. P. Y. DELBOS, Delegacja Prezydium Zarządu Stowarzyszenia w osobach P. Kolegi Prezesa, Ministra Pełnomocnego WIELOWIEYSKIEGO oraz Zastępcy Sekretarza Generalnego, Kol. kapt. MATUSZEWSKIEGO.

W czasie przeprowadzonych rozmów w obecności Pana Ambasadora NOEL, Delegacja Prezydium przedłożyła P. Ministrowi DELBOS sprawę »Karty i Krzyża Kombatanckiego« dla tych b. błękitnych żołnierzy, którzy mają prawo ubiegać się o to odznaczenie w myśl odnośnych rozporządzeń francuskich.

Ponieważ wnioski, które Prezydium już od dłuższego czasu przesłało do kompetentnych czynników we Francji, pozostają do dnia dzisiejszego bez odpowiedzi przeto Delegacja Prezydium Stowarzyszenia prosiła P. Ministra DELBOS o łaskawą interwencję w tej sprawie.

Obecne nazwy pułków b. Armii Polskiej we Francji

Dawniej	Obecnie.
2 p. a. pol	11 p. a. pol.
6 p. a. pol	12 p. a. pol
1 p. a. pol.	13 p. a. pol
7 p. a. pol.	18 p. a. pol (początkowo na 113 p. a. p.)
I 3 p. a. pol	[illegible]
II 3 p. a. pol	„ 12 p. a. pol
III 3 p. - pol	„ „ 13 p. a. pol.
[illegible]	„ „ 18 p. a. pol
[illegible]	11 p. a. c.
3 p. a. c.	12 p. a. c.
I i II/I p. a. c.	13 p. a. c. (pocz. 113 p. a. c.)

Jednostki oddziałów inżynieryjnych utworzyły baony saperów 11, 12, 13, 18.

Oddz. telegraficzne zostały przemianowane na 11, 12, 13. komp. telegr. dalej na 4 komp. ciężką telegr. IV baonu 5 komp. ciężką 5 baonu, 1 i 2 II baonu radio Kraków.

Obie komp. kolejowe zostały przemianowane na 19 i 20 komp. V baonu kolej.

Oddz. samochodowe utworzyły następujące jednostki: kol. pol. osob.

Nr 61 kol. pol. sanit. Nr 62 kol. pol. Nr 69, kol. pol. Nr 610, kol. sanit. Nr. 64, kol. pol. Nr 611 i 612, kol. pol. osob. Nr 81 pol. kol. sanit. Nr. 82, kol. pol. Nr 86, kol. pol. Nr 87

Czołgi utworzyły 1 pułk czołgów.

Eskadry lotnicze utworzyły eskadry pol. Nr 21 2, 22 2, 24 2 -III 2 p. lotn. 6, 9, 10, 11 1, III 1 p. lotn.

1 pułk strzel	43 p. p.
2 „ „	44 „ „
3 „ „	45 „ „
4 pułk strzel	5 p. strz. podhal
5 „ „	6 „ „ „
6 „ „	48 „ „ kres.
7 „ „	68 p. p.
8 „ „	50 „
9 „ „	51 „
10 „ „	52 „
11 „ „	553 „
12 „ „	4 „
13 „ „	42 „
14 „ „	3 p. strz. podhal
15 „ „	49 p. p.
19 „ „	4 p. strz. podhal
20 „ „	71 p. p.
21 „ „	72 „
1 p. strz. na Syberii	82 p. p. (16 p. strz.)
2 „ „ „ „	83 „ (18 „ „)
3 „ „ „ „	84 „ (17 „ „)

Drukarnia i Introligatornia »JAŚMINA«, Warszawa, Elektoralna 18. Tel. 6-39-66.